

Szczęście to ta chwila, co trwa,
szczęście to piórko na dłoni,
co zjawia się, gdy samo chce
i gdy się za nim nie goni*

Opowiadanie dla A.

Listy do Julii Carter

I

Pozostałość chwili

Wysokie, smukłe drzewa, poruszane niewidzialną dłonią wiatru zdają się jakby unosić w powietrzu, płynąć, falować wśród spadających na nie kropel deszczu. Silne, błyskawiczne uderzenia kruszynek wody rozbijają się na zielonoszarych płatkach liści przygniatając je z impetem. Malutkie, przezroczyste wodne istoty ześlizgują się z blaszek, spadając z głuchym świstem w dół. Patrzył, jak rozbijają się o ciemną powierzchnię, grzęzną w błocie, odbijają się od trawy. Stukając w rytm melancholijnej melodii narodzone w chmurach lodowate strumienie tworzą złudne wrażenie deszczowego koncertu. Małe, niepozorne kropelki uderzają cichutko o spadzistą powierzchnię, czarnego, pokrytego smołą dachu rozbrzmiewając nieśmiertelnym echem. Niezapomniana chwila. Być może przeżyjesz kiedyś podobną, ale zapewniam Cię, że nie będzie to ta sama chwila, te same krople, ten sam koncert, ta sama melodia.

Twarz zatopiona w oknie zachwycała się pięknem deszczu. Jim był wysokim, szczupłym mężczyzną, z zapadniętą klatką piersiową i brzuchem płaskim, jak tafla uśpionej blaskiem księżycy wody. Z jego twarzy biło zimno marmurowego posągu - lodowata jak śniegi Arktyki, spokojna niczym sen, wiecznie młoda, ponieważ kamienie nie starzeją się nigdy... Mógłbym powiedzieć, że jego uśmiech był ciekawy. Po prostu ciekawy. Nie nazbyt szeroki, aby bieleł się rzędem lśniących zębów, nie ten, który pokazuje, jak bardzo się cieszysz, a on zakrywa wtedy twarz, aż po same płatki uszu. Nie, z pewnością taki nie był. Mały, wąski, krótki niczym życie owej kropli deszczu - odpowiedziałem. Po chwili jednak zdałem sobie sprawę, iż w rzeczywistości nie miałem racji. Uśmiech Jimiego był ledwie widoczny, niczym świetlik umiejscowiony między rzędem świec, a jednak inny, gdyż pomiędzy tysiącem pomarańczowych płomieni tylko on mienił się bladozielonym światłem. Był tajemniczy. Wszyscy myśleli, że oszukują Jimiego, a on patrzył na nich z tą mrozącą krew w żyłach powagą i niedostrzegalnym uśmiechem skrytym w kąciku ust. Właśnie taki był. Jego oczy nie nosiły znamion charakteryzujących lazurowy blask oceanu. Nie posiadały magii, jaką cieszy blask świecącego się świetlika. Nie zauważyłem też, aby miały barwę płaszcza, którym okrywają się niedźwiedzie, nie one z pewnością nie były brązowe, ani piwne, szare, czy jakiegokolwiek inne. Były natomiast niczym sopel lodu - mogłabyś powiedzieć „przezroczyste”, jakby miały odzwierciedlać duszę, a jednak, gdy zajrzysz w środek sopla z przykrością stwierdzisz, iż mimo jego pozornej przezroczystości nic w nim nie widać, nic nie da się wyczytać. Takie były jego oczy. Niepozwalające zdradzić jego osobowości innym, pozwalające za to patrzeć w ich myśli. To właśnie ten dar zdecydował, iż Jimi został malarzem. Przez - bez mała - sto lat życia, które dano mu na tej ziemi dokonał najwięcej spośród wszystkich znanych mi malarzy, tworząc... CZTERY OBRAZY.

Pierwszy z nich przedstawiał kamienną twierdzę. Przed siedmioma wiekami potężny król nakazał zbudować wspaniały zamek na swoją cześć, aby nigdy nie zapomniano o jego chwale. Chciał zatrzymać czas. Prace trwały dziesięć lat, potem następne dziesięć i jeszcze

* Anna Maria Jopek, Na dłoni/Nienasycenie, Universal Music Group 2002.

dziesięć kolejnych, aż liczba ich przekroczyła osiemdziesiąt. Dawno już zgasło ciało króla, a wkrótce potem pamięć jego czynów. W tym czasie skaliste wybrzeże Kornwalii nawiedziły trzy wojny, dwie powodzie, katastrofalna w skutkach epidemia, trzęsienie ziemi, osiemdziesiąt lat nędzy i głodu, a także wybuch wulkanu, którego tutaj nigdy nie było, ale czy to ma jakieś znaczenie? Koniec końcem w roku to takim to, a takim ukończono budowę potężnego zamku o dwóch wysokich wieżach, murach z szarego kamienia i fosie, tak szerokiej i głębokiej, iż próżno byłoby szukać śmiałka, który zdołałby ją sforsować. Ludzie zapomnieli, dlaczego zbudowano zamek, komu miał służyć, przed kim bronić kraj. Była to twierdza piękna, potężna i nigdy nie zdobyta. A jednak zamek przestał istnieć. Jimi przeczytał kiedyś o nim w jednej z tych „mądrych ksiąg”, które próbują przywrócić światu to, co już stało się historią. Jimi postanowił namalować zamek, którego już nie ma. Tak wyglądał PIERWSZY OBRAZ Jima - potęga wspaniałego, wiszącego na skale zamczyska, umieszczona w małym ułamku sekundy, w czasie, gdy istniał i był potężny.

Tej nocy Jimi postanowił wyjść na spacer. Stąpał lekko po miękkim, zielonym dywanie zastanawiając się nad niebywałym pięknem porannej rosy. Małe kropelki tłoczyły się przez owalne dziurki w siateczce jego butów, aby z całą swą powagą rozgościć się na suchych do tej chwili skarpetach. Jimi wszedł do jeziora. Poważny i zimny majestat ciemnej wody nie dorównywał subtelnością rosie. Cienkie, lodowate sztylciki wbijały się gwałtownie w jego ciało. Zawiedziony tym doznaniem malarz wracał szybkim krokiem do domu. Gdy był już bardzo blisko, spostrzegł na niebie spadającą gwiazdę. Pomyślał sobie: „Czyż nie jest to widok zgoła piękniejszy od potężnego zamczyska? Czyż nie byłoby cudownie widzieć cały czas spadającą gwiazdę i móc wypowiadać sekretne życzenia? Wiedzieć, że można ich wypowiedzieć nieskończenie wiele, gdyż gwiazda ta zawsze spadając nigdy jednak nie spadnie?” Jim postanowił namalować „zawsze spadającą gwiazdę”.

Malarz krótko cieszył się swoim dziełem. Szybko spostrzegł, iż również tym razem nie namalował tego, czego chciał - najpiękniejszej chwili, która miała się nigdy nie skończyć. Wszakże zamek stał się siedliskiem szurów i wron, gwiazda zaś spadła w nicość. Jimi postanowił stworzyć coś, co na pewno się nie zestarzeje, nigdy nie zostanie pokryte chociażby nawet cieniutką warstwą mgły zapomnienia, wrażliwą powłoką, która zabiera nam dni, które minęły, odlatujące bezpowrotnie chwile.

Następnego dnia, gdy nieśmiały pomruk jutrzeńki wdarł się przez małe okienko pracowni, na sztaludze wisiał obraz, na którym znajdowało się „Uczucie”. Spytaś zapewne jak wyglądał ów obraz? On również nie wiedział, jak go namalować. Po chwili namysłu, jednym śmiałym ruchem dłoni nabazgrał czerwoną farbą na białym płótnie niewyraźny napis: „Uczucie”. Tak powstał TRZECI OBRAZ. Przez krótki czas malarz znów był dumny z siebie, lecz niebawem ponownie zadał sobie pytanie: „czymże jest owo uczucie, którym się zachwygam? Rozpalonym do czerwoności gniewem, drżącym głosem, gdy pierwszy raz powiedziałem kocham, smutnymi oczami rozczarowania, opłakiwaniem wylanego mleka, próbą odnalezienia własnego łóżka siedem piw później, dziwnym uczuciem radości, po zjedzeniu lodów truskawkowych, czy momentem, w którym uświadamiasz sobie, że Twój czas właśnie dobiega końca? Czym ono jest?” Jimi nie znalazł odpowiedzi. Podjął jeszcze jedną próbę uwięzienia tego, co niemożliwe. Poszedł do pracowni. Piątego dnia zaprosił wszystkich znajomych, aby pokazać im swoje dzieło. Po sali rozeszły się szepty i szmery znamionujące niekłamany zachwyt widowni nad pracą. Na czwartym obrazie znajdowała się złota klatka o grubych na pół cala prętach, zamknięta na kłódki, z których każda warzyła po jednym dniu, co razem dawało cyfrę „cztery” - dokładnie tyle dni, ile Jim potrzebował na złapanie „chwili.” Teraz trzymał ją w klatce. Więzienie było wygodne i ciepłe, niczym najmiłsze wspomnienie Jima o „chwili,” którą tak bardzo kochał, iż nie chciał pozwolić jej odejść. „Chwili” jednak w klatce było smutno. Owszem, cieszyła się, że malarz otacza ją troską, że wciąż pamięta, o tym małym ułamku sekundy, w którym był najszczęśliwszym

człowiekiem na świecie. Mimo to „chwila” chciała odejść, ale Jim nie miał zamiaru jej wypuścić. Ponieważ nie mógł jej pilnować przez całą dobę postanowił domalować nad klatką swoje oczy, aby mógł jednocześnie spać i strzec swojego skarbu. Jimi był szczęśliwy. Postanowił, że zawiesi malarstwo i wyjedzie w świat. Czy można było namalować coś wspanialszego, niż CZWARTY OBRAZ Jimiego? On uważał, że nie. Zamknął pracownię i ruszył w nieznaną. Wędrował po świecie, pływał pod różnymi banderami, widział ludzi, którzy różnią się od niego kolorem skóry, wyznaniem i mową. Po dwóch latach beztrudnej wędrówki poznał kobietę o imieniu Julia. Zakochał się. Teraz wędrowali razem...

Jimi i Julia byli ze sobą już cztery lata. Razem przemierzali świat, otwierając oczy i serca na jego uroki i tajemnice. Malarz prawie zapomniał o swym dawnym życiu, próbie złapania „chwili” zakończonej sukcesem, o starej pracowni, o wszystkim, co zostawił w deszczowej, mglistej Anglii. Jakiś czas potem powrócili na wyspy, lecz nie do swojego kraju, ale do ojczyzny Julii - zielonej Kornwalii, małych, wiejskich chat i najpiękniejszego wybrzeża na świecie. Pewnego wieczora postanowili wybrać się na spacer. Znaleźli się w miejscu, w którym stał niegdyś potężny zamek. Malarz, mimo iż nigdy tu nie był, od razu poznał to miejsce. Teraz było ono tylko cmentarzem uszpionych kamieni i gruzów, pośród których krążyły mgliste wspomnienia o dawnej chwale wielkiego króla. Słońce schodziło już niebieskimi schodami zrzucając czerwień swej sukni na zimne fale, które zaraz rozbiją się o brzeg wyspy tracąc raz na zawsze tę ulotną chwilę swojego istnienia. Ostatni promień słońca zginął gdzieś w oddali, za linią wyznaczającą horyzont. Jimi wziął Julię za rękę. Powoli przesunął dłoń po jej ramieniu, zatopił długie palce w jej karmazynowych włosach. Nie śmiało musnął ustami jej czoła, tak jak by to był pierwszy pocałunek, jaki złożył na jej ciele. Patrzył w ciemną toń jej oczu. Działy się rzeczy, o których próżno pisać przerywającym długopisem pisarza – amatora, czy nawet złotą stalówką mistrza pióra. Ta chwila była najbardziej warta zapamiętania spośród wszystkich pięknych chwil, jakie znał Jimi. Właśnie tutaj, o zachodzie słońca, na skalistym brzegu Kornwalii z piękną Julią. Zaraz też jednak przypomniał sobie o swoich obrazach. Następnego dnia wyjechał bez pożegnania. W pracowni wszystko wyglądało, jak przed laty, jakby zatrzymane w ułamku sekundy. Jimi wszedł do pracowni. Jednym ruchem ręki usunął w kąt pajęczyny nadając ścianom dawny blask. OBRAZY nadal tu były. Jimi popatrzył przez chwilę na CZWARTY z nich. „Chwila” stała beczynną zakuta w kajdany. Ale to nie była ta sama „chwila”, z którą żegnał się przed wyjazdem. Poczł się oszukany. Zamknął pracownię i ponownie wyjechał w świat. Nie odnalazł Julii, ani też żadnej innej osoby, która by go pokochała. Wędrował od kraju do kraju, przeżywając skrajne uczucia przemierzał świat w poszukiwaniu „chwili”, której pozwolił odejść na skalistym wybrzeżu Kornwalii. Gdy zaś minęło osiemdziesiąt lat jego wędrówki, a sto pięć życia, zdał sobie sprawę, że nie długo on również pewnej samotnej nocy stanie się chwilą, która odeszła. Postanowił jeszcze raz wrócić do domu. Miasto zmieniło się. Na ulicach, na których kiedyś grał w piłkę z rówieśnikami, widniały białe pasy, przez które można było przejść tylko wówczas, gdy odpowiedni semafor zabłysnął na „chwilę” barwą świetlika. Dom Jimiego stał nadal na swoim miejscu. Był zniszczony, pokryty mchem, pełen robactwa. Przez te wszystkie lata nikt go jednak nie zburzył, jakby żywiąc nadzieję, że ten, który go kiedyś opuścił wróci, aby ponownie rozpaść w kominku. Jimi wszedł do środka. Jego pracownia znajdowała się na drugim piętrze. Stąpał ostrożnie po skrzypiących schodach, które w każdej chwili mogły się ugiąć pod ciężarem jego ciała. Wreszcie dostał się na szczyt. Potrząsnął zardzewiałą kłódką, ale ta ani drgnęła. Jimi włożył w dziurkę rudzielony kluczyk, za którego namową zamek zdecydował się ustąpić. Jimi wszedł do pokoju. OBRAZY wisiały na ścianie. Na zewnątrz padał deszcz. Podszedł do ściany, rozłożył zepsute farby i zamalował powierzchnię pierwszego z nich. Pomyślał sobie: „oto, co zostało po potędze wielkiego zamczyska”. Po chwili zdjął ze ściany DRUGI OBRAZ i położył go na ziemi, godząc się na to, aby gwiazda spadła wreszcie z firmamentu. Następnie drżącymi dłońmi ujął nożyce, które

niegdyś służyły mu do cięcia arkuszy i zbliżył je do twarzy CZWARTEGO OBRAZU. Odciął wszystkie kłódki i kajdany. „Teraz chwilo jesteś wolna” - powiedział. Popatrzył na TRZECI OBRAZ i napis na nim widniejący. „Uczucie”. Kiedyś nie wiedział, czym tak naprawdę było. Wyjął z kieszeni portfel, w którym znajdowało się zdjęcie Julii. Zakleił nim napis. Położył się ostrożnie na łóżku. Sprężyny – te, które jeszcze istniały - wydały jęk, tak jakby to, że malarz przygniata je ciałem sprawiało im ból. Ze starego koca uniosło się osiemdziesiąt lat kurzu. Za oknem padał deszcz. Mała, bezbarwna stróżka wody rozbiła się o przezrocze szyby. Ześlizgiwała się powoli z całym dostojeństwem ruchów, jakby w takt melancholijnej muzyki, którą Jimi usłyszał, na krótko przed tym, jak zaczął malować. To właśnie ona pierwsza wydała mu się czymś tak wyjątkowym, by przygwoździć ją pędzlem do krawędzi obrazu i zostawić tu na zawsze. Tym razem pozwolił jej odejść. Jimi zasnął...

Stary, drewniany dom Jimiego J. przy „The Moment Street” spłonął dwa lata później od uderzenia pioruna. Pozostały po nim ruiny i zgliszcza. Przez kilka dni w okolicy rozchodził się zapach spalonych mebli. W powietrzu niesione wiatrem tańczyły skrawki CZTERECH OBRAZÓW słynnego malarza. W popiele, pod zwęglonymi deskami znajdowało się małe, metalowe pudełko - jedyna rzecz, która potrafiła przeciwstawić się żywiołowi. Jakiś czas później ośmioletni James Jamison w poszukiwaniu wybitej przez kolegów piłki natrafił na wystający ze ściółki kawałek zardzewiałej kasetki. Wyrzebał ją z ziemi. Uchylił wieko. W pudełku znajdowała się stara fotografia, a na niej dwoje obejmujących się ludzi: dziewczyna o błyszczących, ciemnych oczach i dwudziestopięcioletni brunet o dziwnym, tajemniczym uśmiechu, który, mimo iż schowany w kącie ust wydawał się ożywiać całą powierzchnię zdjęcia. James zaniósł zdjęcie swojej babci. Ta, poznawszy je od razu odwróciła je na drugą stronę. Ledwie widoczny napis wyryty na powierzchni chropowatego papieru ostro zakończonym grafitem brzmiał: „Kornwalia, The Monumental Tower, 08. 03. 1898 year”. Oczy babci zalśniły tysiącem słonych kryształków, które chwilę potem zsunęły się po jej policzkach obficie nawadniając starą chustkę. Trzy dni potem kobieta zapadła w sen. Na jej nagrobku widniał napis: „Rose Anne Jamison. Urodzona 03. 12. 1898 roku w Millstone w Kornwalii, jedyna córka Julii Carter (1877- 1899) i Jimiego Jamisona (1875- 1???)”

Wnuk Rose Jamison nie pokazał swojego skarbu nikomu innemu. Mimo, iż nigdy nie dowiedział się, kto został uwieczniony na fotografii, zdjęcie wydawało mu się bardzo bliskie. Co jakiś czas spoglądał na nie, zachwycając się tajemniczym uśmiechem bruneta i cudownymi oczami kobiety, która pomimo upływającego czasu i zmieniających się gustów ciągle wydawała się oszałamiająco piękną. Piękną, niczym zatrzymana chwila...

TheAnd